



Mirosław Derecki (M.D.)  
EKTRAN I WIDZ: „KUNG-FU” CZYLI  
RACHUNEK SUMIENIA

Japoński termin „kung-fu”, rozumiany w sposób dosłowny, oznacza działanie samoobronne. Lecz w pojęciu głębszym „kung-fu” to filozofia trwania czy też przetrwania. Polega „na sile perswazji, na umiejętności, płynącej z głębokiego przeświadczenia, przekonywania do własnych racji!... Kung-fu można rozumieć jako potrzebę głoszenia poglądów, nie zaś zachowywania ich wyłącznie na własny użytek” - mówił w wywiadzie dla „Życie Warszawy” Janusz Kijowski w związku ze swoim debiutem filmowym. Film „Kung-fu” należy więc odbierać przede wszystkim w wymiarze moralistycznym, a nie „somatycznym”, jeżeli byłaby tu mowa o jakiejś samoobronie, to nie tej stosowanej przy judo czy karate; dotyczyłaby ona raczej walki o zachowanie ideałów, postaw moralnych. Zarówno w sensie jednostkowym jak i ogólnospołecznym. To uważne i odważne pochylenie się nad sprawami naszego dnia codziennego i naszego w nim miejsca, silnie zarysowany problem odpowiedzialności młodego pokolenia za los kraju, ten głęboki ton, jakim rozbrzmiewa przez cały czas film Kijowskiego, każe zapomnieć o pewnych jeszcze chropowatościach i warsztatowych niedostatkach „Kung-fu”.

Janusz Kijowski dał się już poznać jako obserwator niebanalny i celnie uderzający publicysta dzięki swemu dokumentalnemu filmowi „Z. K. Sieradz”, mówiącemu o społeczności jednego z zakładów karnych; otrzymał za ten film szereg nagród. Trzydziestodwuletni absolwent Wydziału Historii UW oraz Wydziału Reżyserii łódzkiej szkoły filmowej, znany jest także jako krytyk filmowy „Kultury” oraz aktywnie działający prezes Koła Młodych przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich. To właśnie Kijowski jest jednym z głównych rzeczników nurtu moralistycznego we współczesnym młodym polskim kinie. „Kung-fu” nie powstał więc przypadkiem: stanowi konsekwencję pewnej określonej drogi, jaką postępuje Kijowski i całe grono bliskich mu wiekiem młodych reżyserów i aktorów. Dlatego można by „Kung-fu” rozumieć dodatkowo jeszcze jako rodzaj zbiorowej wypowiedzi określonej grupy pokoleniowej artystów, a nie tylko „fabułę” opowiadającą perypetie pewnego młodego inżyniera-elektronika, gnębionego przez prowincjonalną klikę.

Janusz Kijowski stosuje w „Kung-fu” stylistykę charakterystyczną dla większości reżyserów młodego pokolenia: szybka, „reporterska” kamera, zdjęcia, robione często „z ręki”, dynamiczny montaż, stuprocentowy dźwięk, paradokmentalne podejście do sytuacji na planie, naturalne wnętrza, dialog komponowany często „na żywo”. Jego film jest jakby reportażem o aferze typu: „wyrzucają niewinnego człowieka”. Ale równocześnie ów „reportaż” schodzi cały czas w głąb, szukając prawdziwej istoty problemu, penetrując zarówno regiony wynaturzeń życia społecznego, jak i psychikę oraz poglądy na życie jednostek, przede wszystkim - głównych postaci dramatu. Chce też Kijowski ukazać, jak pewne fakty, które zdarzyły się w przeszłości, mogą przez lata ciągnąć się za ludźmi, burząc ich spokój wewnętrzny i rzutując na współcześnie toczące się życie. I że trzeba nieraz wielkiego bólu i zdobycia się na wielką szczerłość, wielkiego wyrzeczenia, w sensie własnych ambicji, aby dostąpić katharsis, moralnego oczyszczenia.

Przy tak wielkim zagęszczeniu problemów i, co za tym idzie, skomplikowaniu dramaturgii (która tylko pozornie w „Kung-fu” może wydawać się prosta) łatwo o artystyczne mielizny, i białe plamy. Nie zawsze też wywód myśli, jaka przyświecała reżyserowi, wypada w sposób dostatecznie przejrzysty. Inżynierowi Witoldowi Markowskiemu (Piotr Fronczewski) pomagają w walce z kliką rządzącą w fabryce i rozciągającą swoje wpływy na całe miasteczko - nie tak dawni jeszcze koledzy ze studiów: młody dziennikarz Marek (Andrzej Seweryn) oraz Zygmunt (Daniel Olbrychski). Temu ostatniemu Witold, z powodów czysto osobistych, odmówił kiedyś pomocy, gdy Zygmuntowi groziło usunięcie z wyższej uczelni.

W swej walce o Witka stosować muszą oni nieraz metody równie bezwzględne co ich „zblatowani” przeciwnicy. I Kijowski zwraca, oczywiście, uwagę na ów fakt konieczności moralnego ubabrania się w walce o słuszną sprawę; i zadaje też pytanie, na ile tego rodzaju postawa prowadzi w konsekwencji do powstania kolejnego „ugrupowania”? Lecz czyni to w sposób o tyle nieklarowny, że cześć krytyki zrozumiała „Kung-fu” jako przesłanie o... konieczności tworzenia własnych „klik”, jeżeli jest to najlepszy sposób na rozbicie przynoszących zło „klik” już istniejących.

Tymczasem „Kung-fu” to przede wszystkim film o dojrzewaniu. Bo dojrzewaniem do dorosłego życia jest nie - osiągnięcie kolejnych stopni naukowych, robienie odkryć i wynalazków, meblowanie mieszkania i wyposażenie go w automatyczne pralki i kolorowe telewizory - ale poznawanie świata ze wszystkimi jego dobrymi sprawami i z jego wszystkimi podłościami.

Z tego poznania, z rachunku sumienia (swojego i innych) może dopiero wyrastać owa kultywowana przez „kung-fu” siła perswazji, owe „głębokie przeświadczenie o słuszności własnych racji i przekonań”.

I jeszcze coś bardzo ważnego, o czym mało kto z recenzentów wspominał: odpowiedzialność za własne słowa i czyny wobec najmłodszych. Tych, dla których - mamy stanowić przykład. „Jak będę wyglądała wobec moich uczniów - mówi w „Kung-fu” młoda nauczycielka, żona Witka (przeżywająca kryzys wiary w sprawiedliwość i zarazem kryzys małżeński) - jeżeli okaże się na moim przykładzie, że wszystko to, co im mówiłam, jest nieprawdą?”.

„Kung-fu” przyniósł Kijowskiemu nagrodę za debiut oraz nagrodę dziennikarzy akredytowanych przy ubiegłorocznym VI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku: nagrodzony został wysoko na ostatnim Lubelskim Forum Filmowym. Ale młodzież wypełniająca sale kinowe na projekcjach „Kung-fu” Kijowskiego nie przychodzi przecież na ten film z uwagi na jego nagrody...

Pierwodruk: „Kamena”, 1980, nr 8, s. 14.